



Juliusz Verne

Tajemnicza wyspa (Część pierwsza)



ISBN 978-83-66268-00-5 (całość)

ISBN 978-83-66268-01-2 (cz. 1)

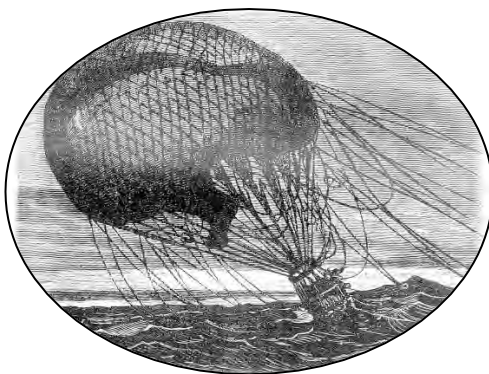


Juliusz Verne

TAJEMNICZA WYSPA

Część pierwsza
Rozbitkowie powietrzni

Juliusz Verne



TAJEMNICZA WYSPA

**Część pierwsza
Rozbitkowie powietrzni**

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sześćdziesiąta czwarta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:

L'Île mystérieuse

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2019

155 ilustracji, w tym 18 kolorowych oraz mapka wyspy:

Jules-Descartes Férat

(zaczepniętych z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Ilustracje i mapkę pokolorował: Dariusz Kocurek

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Andrzej Zydorczak

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-66268-00-5 (całość)
ISBN 978-83-66268-01-2 (część pierwsza)

[Kup książkę](#)

Wstęp

Najwspanialsza powieść Czarodzieja z Nantes

Proszę mi wybaczyć, że niniejszy wstęp ma wydźwięk osobisty, ale „Tajemnicza wyspa” jest dla mnie najwspanialszą książką z wszystkich, jakie wyszły spod pióra Juliusza Verne’a. Od niej zaczęła się moja przygoda z twórczością autora „Niezwykłych Podróży”. Miałem dwanaście lat i od pewnego czasu zaczytywałem się w powieściach przygodowych, z których najbardziej lubiłem robinsonady, gdy wpadła mi w ręce. Wychodząc poza ramy tego gatunku i nic nie tracąc z jego walorów, a wręcz przeciwnie – twórczo go rozwijając i wzbogacając, okazała się olśnieniem i wprawiła mnie w trwający do dziś zachwyt.

Mój związek z „Tajemniczą wyspą” ma też wymiar symboliczny. Powieść ta trafiła do rąk czytelników na początku stycznia 1874 r. Dokładnie sto lat później przyszedłem na świat...

Ale dość tej taniej mistyki, choć o zagadkowych tropach w tej książce będzie jeszcze mowa...

„Tajemnicza wyspa” opowiada o pięciu jeńcach, którzy uciekli balonem z ogarniętego wojną secesyjną Richmondu. W starciu tym stali po stronie Północy, walczącej o wolność dla wszystkich bez względu na kolor skóry. Na wyspie ląduje inżynier Cyrus Smith, jego służący, wyzwolony niewolnik Nab, dziennikarz Gedeon Spilett, marynarz Pencroff, młodzieniec Harbert oraz pies Top. Skład ten nie jest przypadkowy. Inżynier reprezentuje wiedzę ścisłą. Symbolizuje postęp, jaki dokonuje się dzięki nauce. Jest niekwestionowanym liderem grupy, której członkowie nie nazywają siebie rozbitkami, tylko kolonistami, czyli ludźmi świadomie zmieniającymi

otaczający ich świat. Dziennikarz operuje słowem, a więc jest reprezentantem dziedzin humanistycznych. Opisuje świat i go tłumaczy. Marynarz to człowiek ciężkiej pracy, uosabia siłę, rzemiosło, a w szerszej perspektywie – lud. Chłopiec, zafascynowany przyrodą i posiadający o niej rozległą wiedzę, jest chodzącą encyklopedią, ucieleśnia zarazem młodzieńczą witalność i niewinność. Nab, czarnoskóry prostaczek, z jednej strony jest projekcją kolonialnej supremacji białych, która w XIX w. ciągle organizowała zbiorową wyobraźnię, z drugiej jednak, jako wyzwoleniec, wyraża demokratyczne tendencje epoki.

Ta mała grupa to wzorcowe społeczeństwo w pigułce, zdolne siłą wiedzy, szlachetności charakterów i wiary w rozwój nauki zmienić dziki świat w kwitnące społeczeństwo. Na wyspie jest jeszcze ktoś, kto przypomina opiekuńcze bóstwo, dyskretnie wspierające rozbitków. Osoba ta wprowadza do powieści wątek eschatologiczny, choć nie wykracza poza istotę wyższą rodem z oświeceniowego deizmu, a i tak na koniec okazuje się postacią rzeczywistą i wytłumaczalną.

Powieść o powietrznych rozbitkach, oprócz warstwy przygodowej, oferuje czytelnikowi bezprecedensowy mariaż literatury i nauki. Bohaterowie książki, trafiawszy na bezludną wyspę, nie tyle walczą o przetrwanie, ile budują od podstaw cywilizację, przechodzą w nierealnym tempie od prymitywnej troski o byt do najnowocześniejszych wytworów ludzkiego umysłu. Szczególnie pasjonujący jest ów pozytywistyczny, optymistyczny akt tworzenia, urządzania się, pokonywania trudności.

Choć wszyscy bohaterowie powieści to ludzie z krwi i kości, to jednak niektórym z nich autor, jak się zdaje, przypisał nadludzkie właściwości i zakodował ich boską proveniencję. Chodzi tu głównie o Cyrusa Smitha. „Przy nim nie mogło braknąć niczego. Przy nim nie można było stracić nadziei”. Brzmi to niemalże ewangelicznie i taka jest w istocie wymowa tego fragmentu, czego w swym eseju „Wyspa pełna tajemnic” dowodzi Gilles Carpentier. Już na początku powieści inżynier dokonuje

pierwszego „cudu”. Nie mając niczego (no, prawie niczego) rozpala ogień. „Marynarz obejrzał przyrząd, potem bez słowa popatrzył na inżyniera. Jednak wielce wymowne było to spojrzenie! Jeśli dla niego Cyrus Smith nie był bogiem, to z pewnością był kimś więcej niż zwykłym człowiekiem”. Był dla kolonistów z Wyspy Lincoln (jakże wymowną nazwę nadali miejscu swego odosobnienia) zbawcą. Według wspomnianego Carpentiera, jego imię i nazwisko to „quasi-anagram słów ‘Jesus Christ’”. CHRIST można ułożyć w całości z liter imienia i nazwiska inżyniera. Te znaki, które nie zostały wykorzystane, dają w rezultacie YMSU. Wystarczy jedna czwarta obrotu i litera M zmienia się w E. I już mamy YESU. CYRUS SMITH / YESU CHRIST”.

Zdaniem Carpentiera, „Tajemnicza wyspa” jest wprost przeżyconą ukrytymi tropami religijnymi. Zadziwiająco dużo ważnych rzeczy dzieje się w niedziele, a szczególnie przełomowe momenty mają miejsce w kolejne święta wielkanocne. W Zielone Świątki Cyrus Smith objaśnia metodę rozmnażania zboża, dzięki czemu po pewnym czasie koloniści mogą upiec chleb z jednego ocalonego ziarenka. Po zmierzeniu granitowej ściany okazuje się, że ma ona 333,33 stopy wysokości. Czyż trzeba tłumaczyć, jaką wymowę w chrześcijaństwie ma cyfra „3”? O ile inżynier okazuje się zbawcą (nauka jako dobra nowina!), o tyle dziennikarz spisuje jego czyny i nauki. W ten sposób powieść staje się „ewangelią według Spilett’a”. Inicjały dziennikarza to GS. Zastąpmy je literami będącymi w alfabecie o trzy (tak, trzy!) miejsca dalej. Co otrzymamy? JV!

Zostawmy tę zabawę rodem z książek Dana Browna, choć, jak wiemy, Juliusz Verne, będąc miłośnikiem twórczości Edgara Allana Poe’go, lubił w swych powieściach umieszczać zagadki i różne tajne tropy. Przede wszystkim jednak chciał pisać o nauce, a „Tajemniczą wyspę” nazwał nawet powieścią o chemii! Przecież jej bohaterowie, korzystając jedynie z dostępnych zasobów naturalnych, produkują nitroglicerynę, bawełnę strzel-

niczą i substancje niezbędne do wyrobu szkła. To nie przypadek, że Daniel Shechtman, izraelski laureat nagrody Nobla, którą otrzymał w 2011 r. z chemii właśnie, został naukowcem pod wpływem lektury „Tajemniczej wyspy”, którą w dzieciństwie przeczytał... dwadzieścia pięć razy! Czyż Juliusz Verne mógł sobie wyobrazić lepszą recenzję swego dzieła?

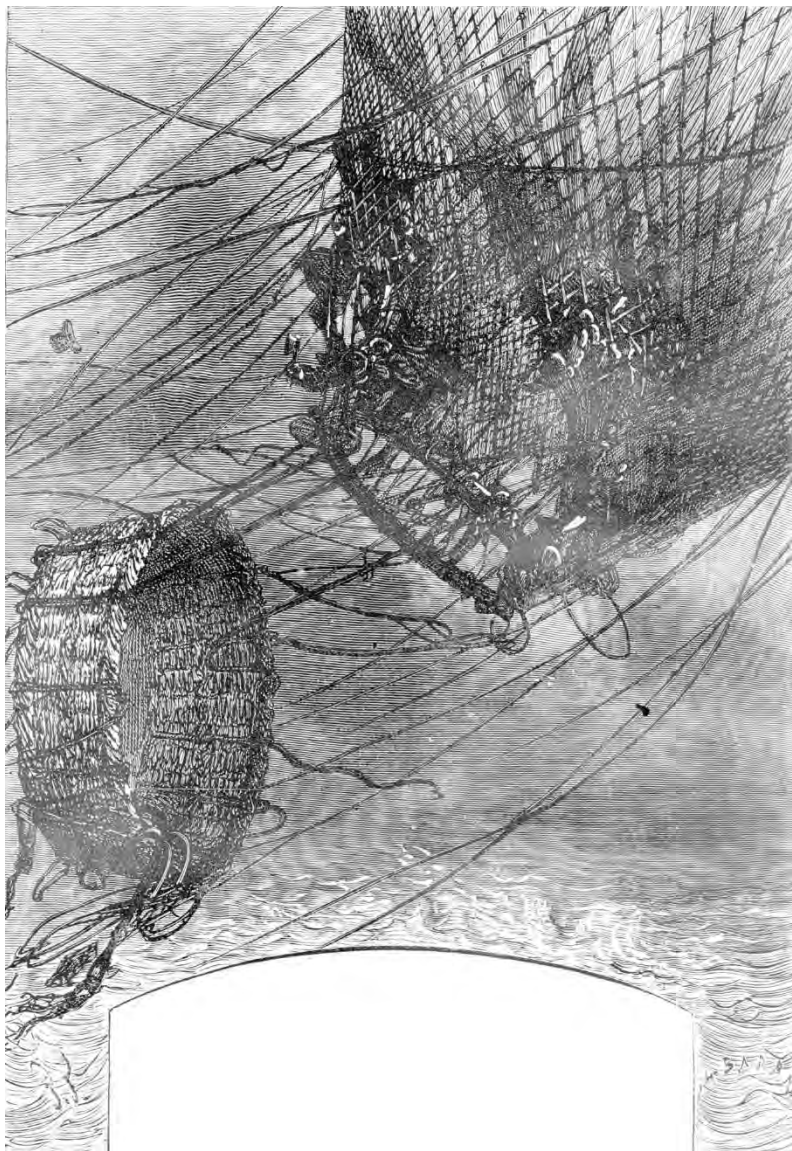
Zwieńczenie trylogii (dwie wcześniejsze książki, które się na nią składają, to „Dzieci kapitana Granta” i „20000 mil podmorskiej żeglugi”) jest do dziś nie tylko chętnie czytane, ale i regularnie wydawane. Po raz pierwszy publikowane było w odcinkach na łamach „Magasin d’Éducation et de Récréation” od 1 stycznia do 15 grudnia 1874 r. (od vol. 19, nr. 217 do vol. 22, nr. 264). Jeszcze przed zakończeniem prasowego serialu „Tajemnicza wyspa” ukazała się w formie książkowej. Każda z trzech części powieści wyszła w oddzielnym tomie (10 września 1874 r. oraz 12 kwietnia i 28 października 1875 r.). Okazała edycja, zawierająca cały tekst i 154 ilustracje Jules’a Férata, trafiła do paryskich księgarń 22 listopada 1875 r.

Niemal równocześnie z francuskimi wydaniem, bo na przełomie 1875 i 1876 roku, „Tajemnicza wyspa” ukazała się po polsku, i to w dwóch przekładach naraz. We Lwowie, nakładem Księgarni Gustawa Seyfartha i Damiana Czajkowskiego, wyszło tłumaczenie niejakiego J. Pł. Z informacji wydawniczej wynika, że wcześniej musiało ono być publikowane na łamach tygodnika „Ojczyzna”, o którym nic bliżej nie wiadomo – nie notują go żadne bibliografie i biblioteczne katalogi. W tym samym czasie ukazał się także przekład Joanny Belejowskiej – w odcinkach w piśmie „Przyjaciół Dzieci”. Na jego książkową wersję trzeba było czekać dwadzieścia lat, do 1896 r. Królowało ono na polskim rynku wydawniczym do wczesnych lat powojennych, aż wreszcie w 1955 r. zastąpiło go bardziej wierne oryginałowi tłumaczenie Janiny Karczmarewicz. Wydawnictwo „Nasza Księgarnia” wznawiało je wielokrotnie aż do początku lat 90. Wraz z nastaniem wolnego rynku, a co za tym idzie komercja-

lizacją ruchu wydawniczego i upadkiem jego etosu, do łask powrócił przekład Belejowskiej, którego największą zaletą było to, że nie obejmował go rygor prawa autorskiego i wynikający zeń obowiązek płacenia honorarium tłumaczowi. Po raz kolejny do głosu doszła zasada, że gorszy pieniądz wypiera lepszy. Przekład Belejowskiej, w stosunku do oryginału będący znacznym skrótem i zawierający wiele przeinaczeń, był w ciągu ostatnich dwudziestu lat wielokrotnie wznawiany, choć równolegle z nim pojawiły się też inne, współczesne, bardzo przyzwoite tłumaczenia Elżbiety Teresy Sadowskiej i Marty Olszewskiej. Ostatni raz po Belejowską sięgnęło jedno z wydawnictw w 2017 r., a dwa lata wcześniej ukazała się nawet odświeżona wersja przekładu owego J. Pł.! Do dziś doliczyć się można już ponad pięćdziesięciu polskich edycji „Tajemniczej wyspy”, co czyni tę powieść jedną z najczęściej wydawanych i najchętniej czytanych w naszym kraju!

Biorąc pod uwagę powyższy rozgardiasz z polskimi tłumaczeniami najwspanialszego, moim zdaniem, dzieła Juliusza Verne’a, przyszła wreszcie pora na przekład wzorcowy, wierny francuskiemu oryginałowi, z kompletem XIX-wiecznych rycin, który właśnie oddajemy w Państwa ręce. Wierzę, że ucieszy on Czytelników tak bardzo jak mnie!

dr Krzysztof Czubaszek
prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

Huragan w 1865 roku – Krzyki w przestworzach – Balon
uniesiony przez trąbę powietrzną – Rozdarta powłoka –
Wszędzie nic, tylko morze – Pięciu pasażerów – Co się
zdarzyło w koszu balonu – Jakież wybrzeże na horyzoncie
– Zakończenie dramatu

Wznosimy się?

– Nie! Przeciwnie! Opadamy!

– Jest jeszcze gorzej, panie Cyrusie! Spadamy!

– Na Boga! Wyrzućcie balast!

– Ostatni worek już opróżniony!

– Czy balon się podnosi?

– Nie!

– Słyszę jakby chlupotanie fal!

– Morze pod koszem!

– Nie może być więcej niż pięćset stóp¹ pod nami!

Naraz powietrze rozdarł potężny głos i padły takie słowa:

– Za burtę wszystko, co ciężkie...! Wszystko! Jesteśmy
w rękach Boga!

Takie właśnie były słowa, które rozlegały się w przestworzach nad ogromną wodną pustynią Oceanu Spokojnego około czwartej po południu dwudziestego trzeciego marca 1865 roku.

Bez wątpienia jeszcze nikt nie zapomniał tego straszliwego uderzenia nawałnicy z północnego wschodu, która rozszalała się podczas zrównania dnia z nocą² owego roku, kiedy to słu-

¹ *Stopa* – tu prawdopodobnie anglosaska jednostka długości równa 30,48 cm; dawna stopa francuska (*pied*) miała 32,48 cm.

² *Zrównanie dnia z nocą* (równonoc) – zrównanie długości dnia i nocy, chwila, w której słońce przechodzi przez jeden z dwóch punktów przecięcia ekliptyki

pek w barometrze spadł do siedmiuset dziesięciu milimetrów. Huragan szalał bez przerwy od osiemnastego do dwudziestego szóstego marca. Spustoszenia, jakie spowodował, były ogromne w Ameryce, Europie i Azji, w strefie szerokiej na tysiąc osiemset mil¹, ciągnącej się wzdłuż linii przechodzącej ukośnie przez równik, od trzydziestego piątego równoleżnika szerokości geograficznej północnej, aż po czterdziesty równoleżnik szerokości południowej! Zburzone miasta, drzewa w lasach powyrywane z korzeniami, wybrzeża zdewastowane nieustannie je zalewającymi olbrzymimi górami wody, uderzającymi falami, mnóstwo statków wyrzuconych na brzeg – które Biuro „Veritas”² oceniało na setki – całe wielkie obszary zniwelowane przez trąby powietrzne miażdżące wszystko, co napotkały na swojej drodze, kilka tysięcy ludzi zabitych na lądzie lub pochłoniętych przez morze. Takie były świadectwa wściekłości huraganu, jakie po sobie zostawił. Spowodował większą klęskę niż huragany, które tak straszliwie spustoszyły Hawanę i Gwadelupę: pierwszy – dwudziestego piątego października 1810 roku, drugi – dwudziestego szóstego lipca 1825 roku³.

Otóż właśnie w tym samym czasie, kiedy tyle strasznych katastrof dokonywało się na morzu i na ziemi, nie mniej przejmujący dramat rozgrywał się we wstrząsanych huraganem przestworzach.

z równikiem niebieskim, ok. 21 III – przez punkt równonocy wiosennej (punkt Barana), i ok. 23 IX – przez punkt równonocy jesiennej (punkt Wagi).

¹ *Mila* – tu prawdopodobnie mila morska stosowana w żegludze morskiej, równa 1852 m.

² *Biuro „Veritas”* – prywatna instytucja międzynarodowa, założona w 1828 roku, zajmująca się statystyką stanu liczebnego okrętów, katastrof itp.; rywal International Lloyd’s Register.

³ *Hawana* – stolica Kuby, państwa na wyspie Kuba, położonej w archipelagu Wielkich Antyli na Morzu Karaibskim; *Gwadelupa* – wyspa w archipelagu Małych Antyli na Oceanie Atlantyckim.

Istotnie, balon, wydzwignięty niczym kulka na szczyt trąby powietrznej i unoszony wirowym ruchem przez powietrzną kolumnę, gnał z prędkością dziewięćdziesięciu mil¹ na godzinę, kręcąc się wokół własnej osi, jak gdyby był pociągany przez jakiś powietrzny maelstrom².

Poniżej dolnego krańca rękawa balonu³ kołysał się kosz z pięcioma pasażerami, zaledwie widocznymi pośród gęstych oparów zmieszanych z rozpylonymi kropelkami wody, ciągnących się aż do powierzchni oceanu.

Skąd przybywał ten aerostat⁴, który stał się prawdziwą zabawką rzuconą na pastwę straszliwej burzy? Z jakiego punktu świata wzniósł się w powietrze? Z pewnością nie mógł wystartować podczas huraganu, ale huragan trwał od pięciu dni, a pierwsze jego symptomy można było dostrzec już osiemnastego marca. Czy było więc uzasadnione przypuszczenie, że balon przybywał z bardzo daleka, ponieważ nie mógł pokonać mniej niż dwa tysiące mil w ciągu doby?

W każdym razie pasażerowie nie mieli możliwości określenia przebytej przez siebie trasy od czasu wylotu, gdyż brakowało im jakiegokolwiek punktu odniesienia. Doszło nawet do bardzo ciekawego zjawiska: chociaż byli unoszeni przez straszliwą

¹ Około 46 metrów na sekundę lub 166 kilometrów na godzinę (około 42 lig [4 km] na godzinę) [przypis J. Verne'a].

² *Maelstrom* (malström) – silny prąd morski z wirami na Morzu Norweskim w okolicy archipelagu Lofotów; szerokość ok. 8 km, prędkość 7 węzłów; silne miejscowe wiatry czynią go jeszcze niebezpieczniejszym; nazwa „Maelstrom” stała się literackim synonimem zagłady i wiru pochłaniającego ludzi i statki dzięki opowiadaniu Edgara Allana Poeo *W otchłaniach Maelstromu* i powieści J. Verne'a *20000 mil podmorskiej żeglugi*.

³ *Rękaw balonu* – specjalny rękaw przymocowany do powłoki balonu, przez który uchodzi gaz, aby przy swoim rozszerzaniu się nie rozsądził powłoki.

⁴ *Aerostat* – statek powietrzny unoszący się w powietrzu dzięki sile wyporu opisanej przez prawo Archimedeasa; do aerostatów zalicza się balony i sterowce.

burzę, to jednak wcale nie odczuwali jej gwałtowności. Przemieszczali się, kręcili wokół własnej osi, zupełnie nie czując rotacji ani nawet samego ruchu w kierunku poziomym. Ich spojrzenia nie były w stanie przebić gęstej mgły, która zebrała się pod koszem. Wokół nich była tylko mgła. Nieprzeniknione chmury nie pozwalały nawet stwierdzić, czy był dzień, czy też noc. Żadne odbłaski światła, żadne odgłosy zamieszkanego świata, nawet żadne ryki oceanu nie docierały do nich w tym mrocznym bezmiarze przestworzy tak długo, jak długo utrzymywali się na wyższych wysokościach. Dopiero gwałtowne spadanie zaczęło im uzmysławiać niebezpieczeństwo, jakie czyhało na nich ponad falami.

Tymczasem balon, pozbawiony balastu poprzez wyrzucenie ciężkich przedmiotów, takich jak amunicja, broń, i zapasy żywności, wzniósł się ku wyższym warstwom atmosfery, do wysokości czterech tysięcy pięciuset stóp. Pasażerowie, stwierdziwszy, iż pod koszem znajduje się morze, uznawszy, że znacznie mniej straszne niebezpieczeństwa czekają na nich na górze niż na dole, nie zawahali się wyrzucać z kosza nawet najpotrzebniejsze przedmioty. Starali się nie stracić ani odrobiny owego fluidu¹, tej duszy aparatu, który utrzymywał ich nad otchłanią.

Noc minęła w atmosferze niepokoju, który dla mniej energicznych istot mógłby się okazać śmiertelny. Wreszcie nadszedł dzień, w ciągu którego huragan zaczął wykazywać tendencję do słabnięcia. Od początku tego dnia, to znaczy dwudziestego czwartego marca, można było zauważyć pewne symptomy uspokajania się żywiołów. O świcie chmury stały się mniej zwarte i podnosiły się wyżej. W ciągu kilku godzin trąba powietrzna

¹ *Fluid* – tu w przenośni gaz; według dawnych teorii naukowych ciągle nieważka substancja przenikająca cały świat; przejawami jej działania i ruchu miały być światło, ciepło, magnetyzm, a także elektryczność.

rozciągnęła się i rozerwała. Wiatr z „huraganu” zmienił się w „bardzo silny wiatr”¹, co oznaczało, że prędkość przemieszczania się warstw atmosferycznych zmalała o połowę. Było to jeszcze to, co marynarze nazywają „wiatrem na trzy refy”², niemniej nastąpiło znaczne wyciszenie żywiołów.

Około jedenastej przed południem dolna część atmosfery zdecydowanie się oczyściła. Powietrze było nasyczone tą wilgotną przezroczystością, którą się widzi, którą nawet się odczuwa po minięciu gwałtownych zjawisk meteorologicznych. Nie wydawało się, by huragan miał się przesuwać dalej na zachód. Odnosiło się wrażenie, że sam się unieścieścił. Być może rozplynął się w naelektryzowanych warstwach, jakie wytworzyły się po załamaniu się trąby powietrznej, jak to czasami bywa z tajfunami³ na Oceanie Indyjskim.

Mniej więcej w tym samym czasie można było zaobserwować, że balon powoli, lecz ciągłym ruchem obniża swój lot ku niższym warstwom atmosfery. Odnosiło się wręcz wrażenie, że jakby powoli tracił powietrze i że jego powłoka wyciągała się i rozciągała, zmieniając swój kształt z kulistego na jajowaty.

Około południa aerostat unosił się na wysokości nie większej niż dwa tysiące stóp nad poziomem morza. Objętość jego wynosiła pięćdziesiąt tysięcy stóp sześciennych⁴ i dzięki takiej

¹ Nazwy rodzajów wiatrów odpowiadają sile wiatru w skali Beauforta; „huragan” odpowiada 12. stopniowi, a „bardzo silny wiatr” – 7. stopniowi w skali Beauforta.

² „*Wiatr na trzy refy*” – wiatr, przy którym żagiel musi być zrefowany o jedną czwartą, żeby nie uległ uszkodzeniu; refowanie (zmniejszanie powierzchni żagla) wykonuje się poprzez zwijanie refu, czyli dolnej części żagla.

³ *Tajfun* – lokalna nazwa cyklonów tropikalnych używana we wschodniej i południowo-wschodniej Azji; jest odpowiednikiem huraganu, określenia stosowanego dla identycznych zjawisk nad akwenami Oceanu Atlantyckiego.

⁴ Około 1700 metrów sześciennych [przypis J. Verne’a]; autor użył tu jako jednostki stopy francuskiej, której rozmiar wynosi 32,48 cm, dlatego pojemność balonu wynosiła ok. 1700 m sześciennych.

pojemności mógłby oczywiście jeszcze długo utrzymywać się w powietrzu, czy to na znacznej wysokości, czy też przemieszczając się poziomo.

W tej chwili pasażerowie wyrzucali ostatnie przedmioty obciążające jeszcze koszt: reszki żywności, jakie zachowali, wszystko, nawet najdrobniejsze przybory znajdujące się w ich kieszeniach. Jeden z nich wspiął się na obręcz, na której zbiegały się liny siatki, i starał się mocniej zawiązać dolny odcinek rękawa aerostatu.

Było oczywiste, że pasażerowie nie byli już w stanie utrzymać balonu w górnych warstwach atmosfery i że zaczynało im brakować gazu!

Byli zatem zgubieni!

Rzeczywiście, pod nimi nie rozciągał się żaden kontynent, ani nawet jedna wysepka. Przestrzeń nie oferowała ani jednego odsepu¹, ani jednego stałego kawałka ziemi, w którą mogłaby się wgryźć kotwica balonu.

Wszędzie ukazywało się bezbrzeżne morze, którego fale uderzały wciąż z niezmniejszoną gwałtownością! Był to ocean bez widocznych granic, nawet dla nich, którzy wysoko nad nim szybowali, a ich spojrzenia mogły ogarnąć przestrzeń w promieniu czterdziestu mil! To była płynna równina, bita bez litości, chłostana przez huragan, która musiała się im jawić jako grupa jeźdźców złożona ze zmierzwionych fal, na które ktoś zarzucił sieć białych grzyw. Żadnej ziemi w zasięgu wzroku, żadnego statku!

Trzeba było zatem za wszelką cenę powstrzymać opadanie, by nie dopuścić do tego, że aerostat zostanie pochłonięty przez morskie fale. Oczywiście w tej chwili właśnie owej niecierpiącej zwłoki operacji poświęćali wszystkie siły pasażerowie znajdu-

¹ *Odsep* (przysep) – zamulisko, aluwialny nanos.

jący się w koszu. Jednak mimo ich wysiłków balon ciągle opadał, jednocześnie przesuwając się z zawrotną prędkością zgodnie z kierunkiem wiatru, to znaczy z północnego wschodu na południowy zachód.

W jakim strasliwym położeniu znajdowali się ci nieszczęśnicy! Oczywiście nie panowali już zupełnie nad swym powietrznym statkiem. Ich wysiłki nie przynosiły żadnego rezultatu. Powłoka balonu coraz bardziej flaczała. Fluid uciekał i nie było żadnego sposobu, by temu zapobiec. Opadanie najwyraźniej przyspieszało i około pierwszej po południu kosz znajdował się już na wysokości zaledwie sześciuset stóp nad oceanem.

Wszystko dlatego, że nie udało się powstrzymać ucieczki gazu, który swobodnie ulatywał przez rozdarcie w powłoce balonu.

Odciążając kosz poprzez wyrzucenie wszystkich przedmiotów, jakie się w nim znajdowały, pasażerowie mogli jeszcze przedłużyć o kilka godzin swoje przebywanie w powietrzu. Nieunikniona katastrofa mogła zostać jedynie opóźniona, i jeśli przed nastaniem nocy nie ukaże się jakiś skrawek ziemi, to pasażerowie, kosz i balon znikną ostatecznie pod falami.

Jedyny manewr, jaki można było jeszcze zrobić, został właśnie w owej chwili wykonany. Pasażerowie aerostatu byli niewątpliwie ludźmi energicznymi, którzy potrafili spojrzeć śmierci prosto w oczy, ale nie było słychać, by jakaś skarga wydarła się z ich ust. Byli zdecydowani walczyć do ostatniej sekundy, zrobić wszystko, co możliwe, żeby opóźnić upadek. Kosz był tylko czymś w rodzaju wiklinowej skrzyni niezdatnej do pływania, i gdyby wpadł do wody, nie byłoby żadnej możliwości utrzymywania go na jej powierzchni.

O drugiej po południu aerostat znajdował się zaledwie czterysta stóp ponad oceanem.

W tym momencie dał się słyszeć męski głos – głos człowieka, do serca którego bojaźń nie miała dostępu. Odpowiedziały mu nie mniej energiczne głosy:

- Wszystko wyrzucone?
- Nie! Jest jeszcze dziesięć tysięcy franków w złocie! Ciężki worek został natychmiast wyrzucony do morza.
- Czy balon się podnosi?
- Trochę, ale niebawem znowu zacznie opadać!
- Co jeszcze zostało do wyrzucenia?
- Nic!
- Ależ tak...! Kosz!
- Zawieśmy się na siatce, a kosz do morza!

Istotnie, był to ostatni i jedyny sposób na odciążenie aerostatu. Odcięto liny, które mocowały kosz do obręczy, i balon po uprzednim opadaniu znowu uniósł się o dwa tysiące stóp.

Pięciu pasażerów wspięło się na siatkę powyżej obręczy i uczepiwszy się jej oczek, spoglądało w przepaść pod sobą.

Wiadomo, do jakiej wrażliwości statycznej są zdolne aerostaty. Wystarczy wyrzucić nawet najlżejszy przedmiot, by spowodować przesuwanie się w pionie. Dryfując w przestworzach, balon zachowuje się niczym niezwykle precyzyjna waga. Można zatem zrozumieć, że gdy pozbędzie się względnie znacznego ciężaru, jego ruch będzie znaczny i gwałtowny. Tak się też stało i tym razem.

Odzyskawszy na chwilę równowagę w wyższych warstwach atmosfery, balon zaczął ponownie opadać. Gaz uchodził przez rozdarcie, którego naprawienie nie było możliwe.

Pasażerowie zrobili wszystko to, co byli w stanie zrobić. Żadna ludzka siła nie mogła ich już ocalić. Pozostało jedynie liczyć na wsparcie Boga.

O czwartej balon znajdował się nie więcej niż pięćset stóp nad powierzchnią wód.

Nagle dało się słyszeć głośnie szczekanie. Odezwał się pies, który towarzyszył pasażerom i w tej chwili wisiał na oczkach sieci tuż przy swoim panu.

– Top coś zobaczył! – wykrzyknął jeden z podróżnych, a zaledwie chwileczkę później można było usłyszeć głośny okrzyk:

– Ziemia! Ziemia!

Balon, unoszony wciąż przez wiatr ku południowemu zachodowi, pokonał od świtu znaczną odległość, którą można było liczyć w setkach mil. Od tamtej właśnie strony pojawił się wznoszący się dość wysoko skrawek ziemi.

Jednak ten ląd znajdował się jeszcze ze trzydzieści mil po zawietrznej¹. Dotarcie do niego musiało zająć dobrą godzinę, i to jeszcze pod warunkiem, że wiatr nie będzie znosił balonu. Godzinę! Czy wcześniej z balonu nie ulotni się ta resztką fluidu, która jeszcze w nim pozostawała...?

Było to straszliwe pytanie! Pasażerowie widzieli już wyraźnie skrawek stałego lądu, do którego za wszelką cenę musieli dotrzeć. Nic o nim nie wiedzieli – czy to była wyspa albo kontynent, ponieważ zaledwie mieli blade pojęcie, w którą stronę świata zagnał ich huragan! W każdym razie, bez względu na to, czy był to ląd zamieszkany, czy bezludny, gościnny czy nie, trzeba było się tam dostać!

Tymczasem o czwartej wyraźnie było widać, że balon już dłużej nie może się utrzymywać w powietrzu. Muskał powierzchnię morza. Już grzebień gigantycznych bałwanów zaczęły lizać dolną część siatki, czyniąc ją jeszcze cięższą, aerostat zaś z trudem wnosił się ponad wodę, niczym ptak, który został zraniony w skrzydło.

Pół godziny później ziemia znajdowała się nie dalej jak o milę, lecz zmęczony, sflaczały, rozciągnięty i pozwijany w wiel-

¹ *Zawietrzna* (podwietrzna) – strona obiektu (np. statku) przeciwna do tej, na którą wieje wiatr.

kie fałdy balon zachował nieco gazu jedynie w górnej części powłoki. Pasażerowie zawieszeni na siatce stanowili dla niego zbyt duże obciążenie i wkrótce, na wpół zanurzeni w morzu, chłostani byli przez rozwścieczone fale. Nagle powłoka balonu złożyła się na kształt kieszeni, w którą wciskał się wiatr, wydymając ją i pchając niczym statek mający wiatr prosto od rufy. Może w ten sposób dobiją do brzegu!

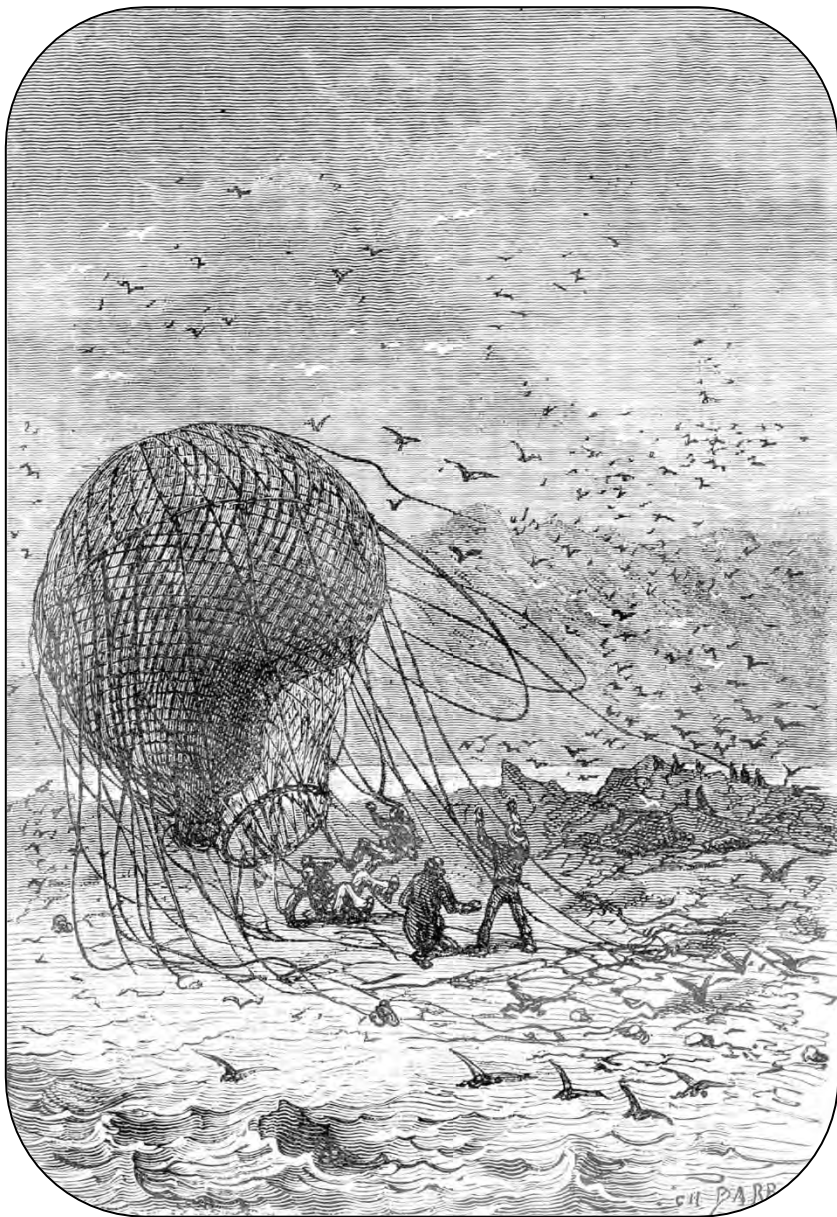
Dzieliła ich od niego odległość zaledwie dwóch kabli¹, gdy z czterech piersi naraz wyrwały się okrzyki przerażenia. Balon, który jak się wydawało, nie był już w stanie więcej się unieść, uderzony ze straszliwą siłą przez jedną z fal, wykonał jeszcze jeden nieoczekiwany skok. Jak gdyby nagle został pozbawiony części swego obciążenia, wzniósł się na wysokość tysiąca pięciuset stóp, gdzie napotkał rodzaj powietrznego wiru, który jednak zamiast unieść go prosto w stronę lądu, pokierował go niemal równolegle do brzegu. Wreszcie, dwie minuty później, balon ponownie zaczął przybliżać się ukośnie do lądu i ostatecznie opadł na piasek wybrzeża, poza zasięgiem wzbudzonych fal.

Pasażerowie, pomagając sobie nawzajem, uwolnili się z oczek siatki. Balon, straciwszy ten balast, jaki stanowiły ich ciała, został ponownie porwany przez wiatr i niczym zraniony ptak, który na chwilę odzyskuje siły, zniknął w przestworzach.

W koszu znajdowało się pięć osób i dodatkowo pies, lecz balon wyrzucił na brzeg tylko cztery.

Pasażer, którego brakowało, został ewidentnie porwany przez wielką falę, która uderzyła w siatkę, i to właśnie pozwoliło odciążonemu aerostatowi unieść się po raz ostatni, a kilka chwil później dotrzeć do brzegu.

¹ *Kabel* – jednostka długości w żegludze, równa 1/10 mili morskiej, czyli 185,2 m.



Pasażerowie, pomagając sobie nawzajem, uwolnili się z oczek siatki.

Zaledwie czterej rozbitkowie – możemy ich bowiem tak nazwać – postawili stopy na stałym lądzie i myśląc o nieobecnym towarzyszu, zaczęli wykrzykiwać:

– Może próbuje dotrzeć do brzegu wpław! Ratujmy go! Ratujmy go!



Rozdział II

Epizod wojny secesyjnej¹ – Inżynier Cyrus Smith – Gedeon Spilett – Murzyn Nab – Marynarz Pencroff – Młody Harbert
– Nieoczekiwana propozycja – Spotkanie o dziesiątej
wieczorem – Odlot podczas burzy

Ci, których huragan wyrzucił na to wybrzeże, nie byli ani zawodowymi aeronautami, ani miłośnikami powietrznych wypraw. Byli jeńcami wojennymi, których własna odwaga pchnęła do ucieczki w nadzwyczajnych okolicznościach. Sto razy mogli zginąć! Sto razy ich rozdarty balon powinien był ich rzucić w morską otchłań! Jednak Niebo zarezerwowało dla nich dziwne przeznaczenie i dlatego dwudziestego marca, po ucieczce z Richmond, oblężonego przez wojska generała Ulyssesa Granta², znajdowali się obecnie siedem tysięcy mil od stolicy Wirginii, tej głównej twierdzy separatystów podczas straszliwej wojny secesyjnej. Ich nawigacja w przestworzach trwała pięć dni.

¹ *Wojna secesyjna* – wojna domowa w USA w latach 1861-1865, między Konfederacją Południa i stanami Północy (Unią); rezultat narastającego w XIX wieku sporu o likwidację niewolnictwa oraz secesji 11 stanów Południa (w roku 1861 utworzono Skonfederowane Stany Ameryki); do drugiej połowy 1862 roku sukcesy Południa, potem przewaga Unii; w roku 1863 prezydent A. Lincoln wydał proklamację emancypacji niewolników; wojna zakończyła się klęską Konfederacji i jej powrotem do Unii w okresie tzw. rekonstrukcji.

² *Ulysses Simpson Grant* (właśc. Hiram Ulysses, 1822-1885) – amerykański generał i polityk; od 1864 roku naczelny dowódca wojsk Unii w wojnie secesyjnej, doprowadził do kapitulacji Konfederacji Południa; w latach 1869-1877 prezydent (wybrany jako kandydat Partii Republikańskiej); prowadził chwiejną i niekonsekwentną politykę w stosunku do pokonanego Południa.

Oto w jakich ciekawych okolicznościach doszło do ucieczki więźniów – ucieczki, która zakończyła się znaną nam już katastrofą.

W tym samym roku 1865, w lutym, podczas jednego z tych śmiałych ataków, których próbował, choć bezskutecznie, generał Grant, by zdobyć Richmond, kilku z jego oficerów zostało pojmanych przez nieprzyjaciela i internowanych w mieście. Jednym z najznamienitszych spośród wziętych do niewoli był członek federalnego sztabu generalnego, nazywający się Cyrus Smith.

Cyrus Smith pochodzący z Massachusetts¹ był inżynierem, pierwszorzędnym uczonym, któremu rząd Unii² na czas wojny powierzył kierowanie kolejami żelaznymi, których znaczenie strategiczne było znaczne. Prawdziwy Amerykanin z Północy, chudy, kościsty, wysuszony, w wieku około czterdziestu pięciu lat, a jego krótko ostrzyżone włosy i zarost – na który składały się jedynie gęste wąsy – lekko już posiwiały. Posiadał jedną z tych „numizmatycznych” głów, które wydają się stworzone tylko po to, by wybijać je na medalach: ogniste spojrzenie, stanowcze usta, fizjonomia naukowca ze szkoły wojskowej. Należał do grona inżynierów, którzy zaczęli od posługiwania się młotem i oskardem³, podobnie jak generałowie, którzy rozpo-

¹ *Massachusetts* – u J. Verne’a: Massachussets; stan USA położony w Nowej Anglii, na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego; na północy graniczy ze stanami New Hampshire i Vermont, na zachodzie ze stanem Nowy Jork, a na południu z Connecticut i Rhode Island.

² *Unia* – określenie używane dla amerykańskich stanów, które pozostały w składzie Stanów Zjednoczonych Ameryki (USA) podczas domowej wojny secesyjnej, w przeciwieństwie do Konfederacji; stany Unii określane były też jako Północ lub pejoratywnie – Jankesi; drugą stroną konfliktu były Skonfederowane Stany Ameryki (CSA), potocznie nazywane „Południem” lub „Konfederacją”.

³ *Oskard* – kilof posiadający z jednej strony zakończenie spiczaste, z drugiej spłaszczony.

czynali karierę jako zwykli szeregowcy. Oprócz przemysłnego umysłu charakteryzował się wyjątkową zręcznością manualną. Posiadał godne uwagi, niezwykle wyrobione mięśnie. Prawdziwy człowiek czynu, a jednocześnie człowiek potrafiący myśleć, działał bez wysiłku, z wytrwałością i żywotnością, które odstraszały wszelkie niepowodzenia. Bardzo dobrze wykształcony, praktyczny, „bardzo zaradny”, by użyć określenia z języka francuskich wojskowych, miał niebывały temperament, gdyż niezależnie od okoliczności zachowywał pewność siebie i całkowicie spełniał trzy warunki określające ludzką energię: aktywność umysłu i ciała, śmiałość pragnień i potęgę woli. Jego dewizą mogłyby być słowa Wilhelma Orańskiego¹ z XVII wieku: „Nie potrzebuję nadziei, by podejmować działania, ani sukcesów, by wytrwać”².

Cyrus Smith był ponadto uosobieniem odwagi. Brał udział we wszystkich bitwach podczas wojny secesyjnej. Rozpoczął swoją karierę pod dowództwem Ulyssesa Granta jako ochotnik z Illinois, walczył później pod Paducah, Belmont, Pittsburg Landing, brał udział w oblężeniu Corinth, bił się pod Port Gibson, nad Czarną Rzeką, pod Chattanooga, Wilderness, brał udział w bitwie nad Potomakiem. Był wszędzie i mężnie odpowiadał, jak żołnierz wart generała, który mawiał: „Nigdy nie liczę swoich poległych!”. Setki razy Cyrus Smith mógł znaleźć się wśród

¹ *Wilhelm III Orański* (1650-1702) – namiestnik Republiki Zjednoczonych Prowincji (północne Niderlandy) od 1672 roku oraz król Anglii, Szkocji i Irlandii od roku 1689, zdołał obronić suwerenność Republiki Zjednoczonych Prowincji, zagrożonej ekspansją francuską; w wyniku rewolucji angielskiej w latach 1688-1689 został powołany (wraz z żoną, Marią II Stuart) na trony Anglii i Szkocji; w roku 1690 pokonał zwolenników Jakuba II w Irlandii; dowodził w walkach z Francuzami w południowych Niderlandach, w roku 1697 zawarł pokój w Rijswijk.

² Tę dewizę przypisuje się Wilhelmowi I Orańskiemu (1533-1584) lub niekiedy doży Wenecji Francesco Foscariemu (1373-1457).

tych, których straszliwy Grant nie liczył, lecz pomimo tego, że prawie nie oszczędzał się w bitwach, zawsze dopisywało mu szczęście, aż do chwili, gdy został ranny i pojmany na polu bitwy pod Richmond.

W tym samym czasie, nawet tego samego dnia, jeszcze inna ważna osoba wpadła w ręce Południowców. Był to, ni mniej, ni więcej, czcigodny Gedeon Spilett, reporter dziennika „New York Herald”, któremu polecono śledzić działania wojenne wojsk Północy.

Gedeon Spilett należał do tego zadziwiającego typu kronikarzy angielskich czy amerykańskich, w rodzaju Stanleya¹ i jemu podobnych, którzy nie cofają się przed niczym, by zdobyć szczegółowe informacje i następnie jak najszybciej przekazać je swojemu pismu. Gazety Unii, takie jak „New York Herald”, tworzą prawdziwe potęgi, a ich wysłannicy to ludzie, z którymi należy się liczyć. Gedeon Spilett należał do najwybitniejszych spośród tych korespondentów.

Człowiek zasłużony, energiczny, rzutki i gotowy na wszystko, pełen pomysłów, zatwardziały podróżnik, żołnierz i artysta, zapalczywy przy naradach, stanowczy w działaniu, nieważający na trudy, zmęczenie czy niebezpieczeństwo, gdy w grę wchodziło zdobywanie wiadomości przede wszystkim dla siebie, a następnie dla swojej gazety, prawdziwy bohaterski tropiciel ciekawostek, najświeższych informacji, tego, co nowe, nieznane, niemożliwe. Był jednym z tych nieustraszonych obserwatorów, którzy piszą pod gradem pocisków, prowadzą kronikę pośród

¹ Henry *Stanley* (do roku 1859 John Rowlands, 1841-1904) – amerykański dziennikarz i podróżnik, jeden z redaktorów gazety „New York Herald”; wybitny badacz Afryki – odnalazł zaginionego Dawida Livingstone’a nad jeziorem Tanganika; odkrył Jezioro Edwarda, jezioro Tumba, Jezioro Leopolda II i masyw górski Ruwenzori; zajął zbrojnie dla króla belgijskiego dorzecze Konga.



Był jednym z tych nieustraszonych obserwatorów, którzy piszą pod gradem pocisków, prowadzą kronikę pośród armatnich kul.

[Kup książkę](#)

armatnich kul i dla których wszelkie niebezpieczeństwa są szczęśliwym zrządzeniem losu.

On także brał udział we wszystkich bitwach, w pierwszej linii, z rewolwerem w jednej ręce i notatnikiem w drugiej, a kartaczownica¹ nie wywoływała drżenia jego ręki trzymającej ołówek. Nigdy nie męczył kabli telegraficznych bezustannymi depeszami, jak ci, którzy mówią nawet wtedy, gdy nie mają nic do powiedzenia, ale każda z jego notatek, krótkich i precyzyjnych, rzucała światło na najważniejsze kwestie. Poza tym nie brakowało mu także poczucia humoru. To on, nie chcąc stracić miejsca przy okienku biura telegraficznego w oczekiwaniu na wynik bitwy nad Czarną Rzeką², który mógłby przekazać swojej gazecie, przez dwie godziny telegrafował pierwsze rozdziały Biblii³. Kosztowało to „New York Herald” dwa tysiące dolarów, lecz to właśnie „New York Herald” otrzymał informację jako pierwszy.

Gedeon Spilett był wysokiego wzrostu i liczył maksymalnie czterdzieści lat. Jego twarz okalały faworyty jasnoblond o rudym odcieniu. Posiadał żywe, spokojne oczy mogące szybko się poruszać. Miał spojrzenie człowieka, który od razu dostrzega wszystkie szczegóły tego, co się wokół niego dzieje. Mocno zbu-

¹ *Kartaczownica* – początkowo działo strzelające kartaczami (rozpryskowy pocisk artyleryjski wypełniony metalowymi siekańcami, w późniejszym okresie kulkami, stosowany od XVI do końca XIX wieku); od drugiej połowy XIX wieku także wielolufowa broń karabinowa.

² *Bitwa nad Czarną Rzeką* – właściwie bitwa nad Wielką Czarną Rzeką (17 maja 1863, niedaleko Vickburga) w czasie wojny secesyjnej, zakończona zwycięstwem wojsk Unii pod dowództwem generała Ulyssesa S. Granta, które pokonały oddziały Konfederacji pod dowództwem generała Johna C. Pembertona.

³ Podobną sytuację J. Verne opisuje w swej powieści *Michał Strogow*, gdzie angielski dziennikarz „Daily Telegraph”, dyktując pierwsze wersy Biblii, chce doczekać końca bitwy pod Koływaniem.

dowany, zahartowany we wszystkich klimatach kuli ziemskiej niczym stalowa sztaba w zimnej wodzie.

Od dziesięciu lat Gedeon Spilett był stałym reporterem „New York Herald”, który wzbogaczał swoimi kronikami i rysunkami, gdyż równie dobrze władał ołówkiem jak piórem. Kiedy został pojmany, właśnie był w trakcie opisu i szkicowania bitwy. Ostatnie wyrazy, jakie znaleziono w jego notatniku, brzmiały: „Jakiś południowiec bierze mnie na cel i...”. Oczywiście Gedeon Spilett nie został trafiony, ponieważ zgodnie ze swoim niezmiennym zwyczajem wy dostał się z tej sprawy bez najmniejszego zadrasnięcia.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, którzy nie znali się osobiście, lecz jedynie ze swojej reputacji, obaj zostali przetransportowani do Richmond. Inżynier szybko wyleczył swoją ranę, a podczas rekonwalescencji zawarł znajomość z reporterem. Ci dwaj mężczyźni potrafili się dogadać i nauczyli się wzajemnie szanować. Wkrótce ich wspólne życie zmierzało ku jednemu celowi: uciec, dołączyć do armii Granta i walczyć nadal w jej szeregach o zjednoczenie federacji.

Dwaj Amerykanie byli zdecydowani skorzystać z jakiegokolwiek nadarzającej się okazji, lecz chociaż pozostawiono im swobodę w mieście, to Richmond było tak pilnie strzeżone, że ucieczkę można było uznać za niemożliwą.

Tymczasem do Cyrusa Smitha dołączył oddany mu na śmierć i życie sługa. Ten nieustraszony osobnik był Murzynem urodzonym w posiadłości inżyniera z ojca i matki niewolników, których Cyrus Smith, zwolennik abolicjonizmu¹ z serca i rozumu, już dawno wyzwolił. Jednak ten niewolnik, będąc już wolny, nie chciał opuścić swego pana. Darzył go taką miłością, że

¹ *Abolicjonizm* – ruch społeczny domagający się zniesienia (abolicji) niewolnictwa.

gotów byłby za niego umrzeć. Był to chłopak trzydziestoletni, silny, zwinny, zręczny, inteligentny, łagodny i miły, czasami naiwny, zawsze uśmiechnięty, usłużny i dobry. Zwał się Nabuchodonozor¹, lecz reagował jedynie wówczas, kiedy zwracano się do niego zdrobniałym i poufałym imieniem Nab.

Kiedy Nab dowiedział się, że jego pan dostał się do niewoli, bez namysłu opuścił Massachusetts, przybył pod Richmond i dzięki podstępowi oraz zręczności, dwadzieścia razy ryzykując swoim życiem, zdołał się przedostać do oblężonego miasta. Nie sposób wyrazić, jaką radość sprawiło Cyrusowi Smithowi ponowne ujrzanie służącego i jak cieszył się Nab z odnalezienia swego pana.

Jeśli jednak Nabowi udało się przedostać do Richmond, bardzo trudno było się z niego wymknąć, gdyż więźniowie unio-nistów byli bardzo surowo pilnowani. Trzeba by było jakiejś wyjątkowej okazji, by móc spróbować ucieczki z pewnymi szansami na sukces, a taka okazja nie tylko się nie nadarzała, ale wręcz trudno było ją sobie wyobrazić.

Tymczasem generał Grant nadal prowadził energicznie operacje wojenne. Zwycięstwo pod Petersburgiem² wiele go kosztowało. Mimo to jego siły, połączone z oddziałami Butlera³, nie były w stanie poradzić sobie z Richmond i nic nie wskazywało na to, że więźniowie zostaną wkrótce oswobodzeni. Reporter, któremu nudna niewola nie dostarczała żadnych interesujących

¹ *Nabuchodonozor* (?-1103 p.n.e.) – od 1124 roku król babiloński; twórca tzw. odrodzenia babilońskiego; dwukrotnie próbował podbić Asyrię; zdo-był Suzę, ale ostatecznie nie pokonał Elamitów.

² *Petersburg* – tu: miasto w Stanach Zjednoczonych w stanie Wirginia, położone o 45 km na południowy wschód od Richmond.

³ Benjamin Franklin *Butler* (1818-1893) – amerykański prawnik i polityk, gubernator stanu Massachusetts, jeden z dowódców wojsk Unii, nazywany przez białych z Południa „Bestia Butler”.

szczegółów do opisania, nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Opanowała go jedna myśl: zbiec z Richmond, i to za wszelką cenę. Kilkakrotnie nawet próbował ucieczki, ale za każdym razem był zatrzymywany przez niedające się pokonać przeszkody.

Tymczasem oblężenie wciąż trwało, i jeśli więźniowie spieszyli się z ucieczką, by ponownie dołączyć do oddziałów Granta, to niektórzy z oblężonych także jak najszybciej starali się uciec, by dostać się do wojska separatystów, a pomiędzy nimi niejaki Jonathan Forster, zaciekły Południowiec. Jeśli bowiem więźniowie z wojsk federalnych nie mogli opuścić miasta, to konfederaci także nie mogli tego uczynić, gdyż okrążała ich armia Północy. Gubernator Richmond już od dłuższego czasu nie potrafił się skontaktować z generałem Lee¹, a bardzo mu zależało na tym, żeby poinformować generała o sytuacji w mieście i sprowokować szybsze nadejście wojsk z odsieczą. Ten to wspomniany Jonathan Forster wpadł na pomysł wykorzystania balonu do przedostania się ponad liniami oblegających miasto i dotarcia do obozu secesjonistów.

Gubernator wyraził zgodę na podjęcie takiej próby. Wykonano aerostat i oddano go do dyspozycji Jonathanowi Forsterowi, któremu w przestworzach miało partnerować jeszcze pięciu towarzyszy. Wszyscy oczywiście zostali zaopatrzeni w broń, na wypadek gdyby po wylądowaniu musieli się bronić, oraz w żywność, na wypadek gdyby ich podniebna podróż miała się przedłużyć.

Start balonu zaplanowano na osiemnastego marca. Lot musiał być przeprowadzony w nocy, a aeronauci liczyli na to, że przy północno-zachodnim umiarkowanym wietrze uda im się dotrzeć w ciągu kilku godzin do głównej kwatery generała Lee.

¹ Robert Edward Lee (1807-1870) – amerykański generał, od 1865 roku naczelnym dowódcą wojsk Konfederacji w czasie wojny secesyjnej.

Jednak ten północno-zachodni wiatr wcale nie przypominał bryzy¹. Już od rana osiemnastego marca można było zobaczyć, że zmienia się w huragan. Wkrótce rozpętała się taka burza, że odlot Forstera musiał zostać odroczoney, gdyż niepodobna było narażać aerostatu i tych, którzy mieli się w nim znaleźć, przy tak szalejących żywiołach.

Balon napełniony gazem stał na największym placu w Richmond, gotów wzbicić się w powietrze podczas pierwszego uspokajania się wiatru. Ponieważ jednak stan atmosfery wcale się nie poprawiał, w mieście narastało wielkie zniecierpliwienie.

Minął osiemnasty i dziewiętnasty marca, lecz burza nie wykazywała żadnych tendencji do słabnięcia. Z wielkimi trudnościami udawało się chronić przymocowany do gruntu balon, który gwałtowne uderzenia wiatru pochylały do samej ziemi.

Minęła noc z dziewiętnastego na dwudziesty marca, lecz nad ranem huragan stał się jeszcze gwałtowniejszy. Wylot był niemożliwy.

Tego dnia inżynier Cyrus Smith został zaczepiony na jednej z ulic Richmond przez człowieka, którego zupełnie nie znał. Był to marynarz nazywający się Pencroff, liczący około trzydziestu pięciu, może czterdziestu lat, potężnie zbudowany, ogorzały, o żywych, mrugających oczach, lecz dobrotliwej twarzy. Ów Pencroff był Amerykaninem z Północy, który przemierzył wszystkie morza na całym globie i doświadczył wszystkiego, co może się przytrafić nieoczekiwanego istocie dwunożnej bez piór². Nie ma sensu dodawać, że był naturą przedsiębiorczą, gotową odważyć się na wszystko i której nic nie było w stanie

¹ *Bryza* – wiatr wiejący na wybrzeżu morskim: w nocy znad lądu, w dzień znad morza.

² *Istocie dwunożnej bez piór* – żartobliwe nawiązanie do definicji Platona (ok. 427-ok. 347 p.n.e.): „Człowiek jest to istota żywa, dwunożna, nieopierzona” (Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, VI.40).

zadziwić. Z początkiem tego roku Pencroff wyruszył w interesach do Richmond wraz z pewnym młodym, piętnastoletnim chłopcem, Harbertem Brownem, pochodzącym z New Jersey, synem jego kapitana, sierotą, którego kochał, jak gdyby to było jego własne dziecko. Nie zdoławszy opuścić miasta przed pierwszymi operacjami wojennymi, poczuł się ku swemu wielkiemu niezadowoleniu unieruchomiony, a jego umysł zaczęła dręczyć tylko jedna myśl: uciec, używając wszelkich dostępnych sposobów i środków. Znał ze słyszenia inżyniera Cyrusa Smitha. Wiedział, z jakim trudem ten zdeterminowany człowiek tłumił w sobie niecierpliwość. Dlatego tamtego dnia bez wahania podszedł do niego i zapytał bez żadnych wstępów:

– Panie Smith, czy nie ma pan już dość Richmond?

Inżynier spojrzał badawczo na człowieka, który zaczął go takimi słowami, on zaś dodał cichym głosem:

– Panie Smith, czy chce pan uciec?

– Kiedy...? – odparł żywo inżynier i należy przyznać, że odpowiedź ta sama wyrwała się z jego ust, gdyż nie zdążył jeszcze przyjrzeć się bliżej nieznajomemu, który skierował do niego te słowa.

Kiedy jednak przyjrzał mu się badawczym wzrokiem i ujrzał jego uczciwą twarz marynarza, nie miał wątpliwości, że ma przed sobą porządnego człowieka.

– Kim pan jest? – spytał krótko.

Pencroff się przedstawił.

– Dobrze – odparł Cyrus Smith. – W jaki sposób proponuje pan stąd uciec?

– Tym próżnującym balonem, któremu pozwala się nic nie robić i który sprawia wrażenie, jakby tylko na nas czekał...!

Marynarz nie musiał kończyć zdania. Inżynier w lot pojął, w czym rzecz. Ujął Pencroffa za ramię i zaciągnął do swojej kwatery.



– Panie Smith, czy chce pan uciec?

[Kup książkę](#)

Tam marynarz rozwinął mu swój projekt, naprawdę niezwykle prosty. Wykonując go, nie ryzykowali niczego innego jak tylko swoje życie. To prawda, że huragan szalał z niesamowitą siłą, ale zręczny i odważny inżynier, taki jak Cyrus Smith, z pewnością poradzi sobie z nawigacją balonem. Gdyby on, Pencroff, sam znał się na manewrowaniu, nie zawahałby się odlecieć – ma się rozumieć z Harbertem. W swoim życiu widział już gorsze burze niż ta i nie obawiał się takiej nawałnicy!

Cyrus Smith słuchał marynarza, nie mówiąc ani słowa, ale z roziskrzonym wzrokiem. Oto nadarzała się okazja. Nie był człowiekiem, który by ją wypuścił z rąk. Plan był co prawda niezwykle niebezpieczny, ale wykonalny. Nocą, pomimo strażników, można by podejść do balonu, wślizgnąć się do kosza i odciąć przytrzymujące go liny! Z pewnością ryzykowali, że mogą zostać zabici, ale równie dobrze mogło się udać, i gdyby nie ta burza... Tyle że gdyby nie ta burza, balon już by odleciał, i tak wyczekiwana okazja nie pojawiłaby się w tej chwili!

– Nie jestem sam...! – rzekł na koniec Cyrus Smith.

– Ile osób chciałby pan ze sobą zabrać? – spytał marynarz.

– Dwie: mojego przyjaciela Spilettę i służącego Naba.

– Zatem razem trzy – odparł Pencroff – a z Harbertem i ze mną pięciu. Tymczasem balon miał zabrać sześciu...

– Wystarczy. Lecimy! – zdecydował Cyrus Smith.

Owo „lecimy” obejmowało również reportera, a ponieważ reporter nie był człowiekiem, który miałby się wycofywać, więc gdy tylko przedstawiono mu plan, zaaprobował go bez zastrzeżeń. Dziwił się jedynie temu, że sami nie wpadli na tak prosty pomysł. Jeśli chodzi o Naba, on podążał za swoim panem wszędzie, gdzie jego pan chciał się udać.

– Zatem do dzisiejszego wieczora – powiedział Pencroff. – Będziemy się wszyscy kręcić w pobliżu, udając gapiów!

– Do wieczora, o dziesiątej – odparł Cyrus Smith – i niech Bóg sprawi, aby burza nie uspokoiła się przed naszym odlotem!

Pencroff pożegnał się z inżynierem i wrócił do swojego mieszkania, gdzie pozostawił młodego Harberta Browna. Ten odważny chłopiec znał plan marynarza i nie bez pewnego niepokoju czekał na wynik podjętych działań i rozmów z inżynierem. Jak widać, było to pięciu bardzo zdeterminowanych ludzi, którzy postanowili zmierzyć się z szalejącym huraganem!

Nie! Huragan wcale się nie uciszył, i ani Jonathanowi Forsterowi, ani jego towarzyszom nie przyszło nawet do głowy, aby stawiać mu czoła w kruchym koszu! Dzień był straszny. Inżynier obawiał się tylko jednej rzeczy: żeby aerostat, przytwierdzony do ziemi i pod naporem wiatru prawie położony poziomo, nie rozdarł się na tysiące kawałków. Przez kilka godzin krążył po niemal pustym placu, pilnując aerostatu. Ze swej strony Pencroff robił to samo: z rękami w kieszeniach, ziewając od czasu do czasu jak człowiek, który nie wie, jak zabić czas, lecz w głębi duszy pełen obaw, czy balon się nie podrze albo czy nie zerwą się liny i nie uleci w przestworza.

Nadszedł wieczór. Zrobiła się bardzo ciemna noc. Mgły gęste niczym chmury przetaczały się tuż nad ziemią. Padał deszcz zmieszany ze śniegiem. Było zimno. Na Richmond położyły się ciężkie opary. Wydawało się, że gwałtowna burza wymusiła na oblężonych i oblegających zawieszenie broni, a działa zamilkły w obliczu imponujących huków huraganu. Ulice kompletnie opustoszały. Niepotrzebne wręcz wydało się przy takiej okropnej pogodzie ustawienie straży na placu, gdzie na linach szamotał się balon. Ewidentnie wszystkie okoliczności sprzyjały ucieczce więźniów... jednak podróż podczas tej rozszalałej zawieruchy...!

– Paskudna pogoda! – mówił do siebie Pencroff, wbijając dłonią na głowę kapelusza, który chciał mu zerwać wiatr. – Ale co tam! Musi nam się udać!

O wpół do dziesiątej Cyrus Smith i jego towarzysze podkradli się z różnych stron na plac, który tonął w głębokich ciemnościach, pozbawiony światła zgaszonych przez wiatr gazowych latarni. Nie było widać nawet olbrzymiego balonu, niemal całkowicie przygniecione go do ziemi. Niezależnie od worków z balastem, przytrzymujących liny siatki, kosz zabezpieczono grubą liną przeciągniętą przez pierścień przytwierdzony do bruku, której drugi koniec znajdował się w gondoli.

Pięciu więźniów spotkało się przy koszu. Przez nikogo nie zostali dostrzeżeni, ponieważ panowały takie ciemności, że nawet oni sami nie widzieli się wzajemnie.

Nie wypowiedziawszy ani słowa, Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert zajęli miejsca w koszu, podczas gdy Pencroff na polecenie inżyniera po kolei odcinał worki z balastem. Trwało to zaledwie kilka chwil, po czym marynarz dołączył do towarzyszy.

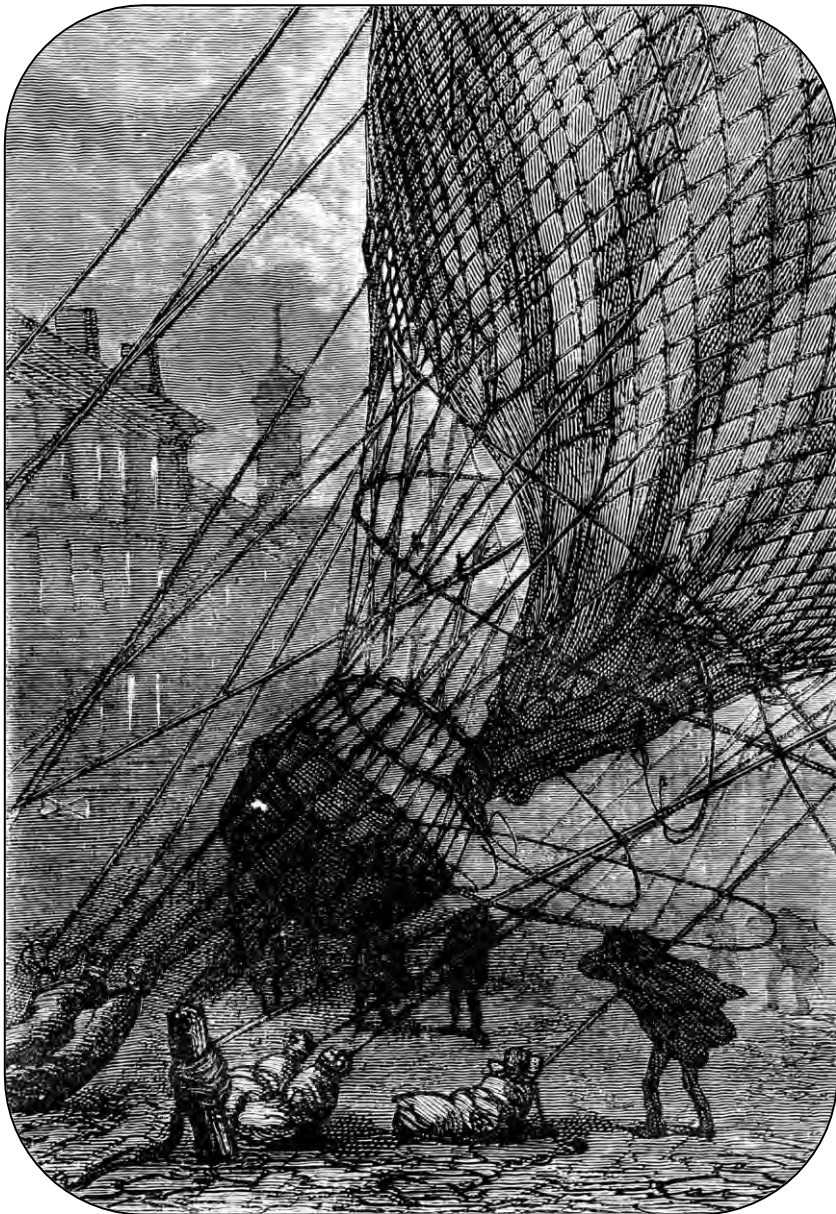
Balon przytrzymywany był teraz jedynie przez podwójną grubą linę, więc Cyrusowi Smithowi nie pozostawało nic innego jak tylko wydać rozkaz do odlotu.

W tym momencie do kosza jednym susem wskoczył pies. Był to Top, pies inżyniera, który zerwawszy się z łańcucha, przybiegł za swoim panem. Cyrus Smith, obawiając się przeciążenia balonu, chciał odgonić biedne zwierzę.

– Ba! Jeden więcej! – powiedział Pencroff, odciążając kosz przez wyrzucenie dwóch worków piasku.

Następnie zwolnił drugi koniec grubej liny, a balon, wznosząc się ukośnie coraz wyżej, po potrąceniu gondolą dwóch kominów, które zważył w swoim pędzie, zniknął w przestworzach.

Huragan szalał z przerażającą gwałtownością. Nocą inżynier nie mógł nawet myśleć o lądowaniu, a gdy nastał dzień, mgły całkowicie przesłaniały cały obraz ziemi. Dopiero pięć dni później, dzięki chwilowemu przejaśnieniu, możliwe stało się zo-



Pięciu więźniów spotkało się przy koszu. Przez nikogo nie zostali dostrzeżeni, gdyż panowały takie ciemności, że nawet oni sami nie widzieli się wzajemnie.

baczenie ogromnej powierzchni morza poniżej aerostatu, który wiatr pociągał z zawrotną prędkością!

Wiemy już, że spośród pięciu mężczyzn, którzy odlecieli dwudziestego marca, czterech zostało wyrzuconych dwudziestego czwartego marca na bezludne wybrzeże, ponad sześć tysięcy mil od ich kraju¹!

Tym, którego brakowało, któremu na ratunek wyruszyli natychmiast czterej rozbitkowie z balonu, był ich naturalny przywódca, inżynier Cyrus Smith!



¹ Piątego kwietnia miasto Richmond było już w rękach Granta, bunt separatystów został stłumiony; Lee wycofał się na zachód, a zwyciężyła sprawa amerykańskiego zjednoczenia [przypis. J. Verne'a].

Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!